



W reniferowych zaprzęgach na biegun zimna

Przygotowanie kolacji: lód na wodę, udziec renifera i stroganina – zamrożona na kość nelma, krojona w cienkie poskręcane wstążki. Pierwszy od lewej to Jacek Pałkiewicz. FOT. JACEK PAŁKIEWICZ



Jacek Pałkiewicz

W 1989 r. mediolański „Corriere della Sera” donosił, że moja syberyjska wyprawa odegrała istotną rolę w ociepleniu relacji Wschód-Zachód w burzliwym okresie pierestrojki, punkcie zwrotnym w historii XX w.

Opowieść o mojej syberyjskiej wyprawie zacznę od bohatera mojego dzieciństwa, kiedy z zapałem rozczytywałem się w historiach najwspanialszych ekspedycji badawczych. Moi herosi, którzy w beznadziejnych sytuacjach toczyli legendarne boje o przetrwanie i wyróżniali się prawdziwą odwagą oraz determinacją, urosli do symbolu męstwa. Panteon odkrywców otwierał Ernest Shackleton, który po dwóch nieudanych próbach dotarcia do bieguna południowego w 1911 r. został wyprzedzony przez Amundsena, a następnie przez Scotta. Wtedy postanowił zmienić plany i przebyć

na czele wieloosobowej ekspedycji pieszo największą lodową pustynią świata – Antarktydę. Wyprawa, choć nieudana, została zapamiętana jako jedna z najwspanialszych w dziejach. Po uwięzieniu statku przez lody legendarny odkrywca podjął brawurową próbę ratowania swojej załogi. Wraz z pięcioma ludźmi przepłynął zwykłą szalupą 1,2 tys. km po otwartym oceanie. Próżno szukać większej determinacji i próby charakteru niż u tego Irlandczyka oraz jego współtowarzyszy. Ich historia jest przykładem niewyobrażalnej wytrwałości oraz heroicznej walki o życie i powrót do świata po prawie dwuletnim pobycie w labiryncie bez wyjścia.

WYSOKO ZAWIESZONA POPRZECZKA

Po wielu wizytach w Moskwie udało się w końcu przekonać dotkniętych paranoicznymi urojeniami biurokratów, dla których każdy przybysz z Zachodu to potencjalny szpion, aby udzielili mi zgody na przemierzenie zakątka Syberii, do którego wcześniej nie dotarł żaden obcokrajowiec. Dzięki temu krótko przed rozpadem sowieckiego imperium moja wyprawa mogła wyruszyć z Jakucka do niedostępnego Ojmiakonu, światowego bieguna zimna,

gdzie swego czasu zanotowano najniższą temperaturę – minus 72 st. C – w miejscu stale zamieszkanym przez człowieka.

Przygotowania do ekspedycji „Syberia ’89” trwały ponad rok. Musiałem ustalić trasę przejazdu i listę ekwipunku. W Jakucku nadzorowałem produkcję specjalnej odzieży, załatwiałem wydzierżawienie sanek i reniferów. Nie mogłem przegapić ubezpieczenia i omówienia ze sponsorem strategii promocyjnej, a także ustalenia procedur na wypadek jakiegось nieszczęścia i ewakuacji.

Pierwsza zagraniczna wyprawa na intrygującą Syberię, korzystająca z dobrodziejstw głośności i pierestrojki, oprócz wymiaru sportowego miała stanowić dla nauki swego rodzaju laboratorium na syberyjskim poligonie. Profesor Akademii Nauk Medycznych Wasilij Prokopiewicz Aleksiejew, specjalista biologii człowieka jakuckiego Instytutu Medycyny Dalekiej Północy, szukał rozwiązań, które umożliwiłyby skrócenie okresu adaptacyjnego i uczyniły łatwiejszym życie w zimnym regionie. Twierdził, że nasza współpraca, poszerzona o fizjologów i psychiatrów, pozwoli mu zgłębić temat granicy przystosowania organizmów nawykłych do łagodnego klimatu Włochów do krańco-

wych obciążeń w warunkach długotrwałego zimna.

Przed kandydatami na każdą trudną wyprawę wysoko stawiam poprzeczkę. Nauczyłem się tego studiując Shackletona, który dzięki swoim umiejętnościom i określonym strategiom zarządzania potrafił zjednoczyć wokół siebie ludzi i oszukać antarktyczne przeznaczenie. Stał się dla potomnych wzorem przywództwa w beznadziejnych momentach. Zwracałem uwagę nie tylko na odporność fizyczną i psychiczną, lecz także na zrównoważenie emocjonalne, umiejętność współżycia w zespole, akceptację autorytetu, motywację, również na samodyscyplinę i... poczucie humoru. Ta ostatnia cecha okazuje się bowiem niezwykle przydatna w każdej trudnej sytuacji. Kiedy pytałem kandydatów o motywy, które zadecydowały o tym, że wyrazili chęć uczestnictwa w wyprawie, najczęściej odpowiadali, że chodzi o test odwagi, możliwość sprawdzenia się w krańcowych warunkach.

PRÓBA CHARAKTERU

Wyruszamy w drogę z centrum Jakucka. Karawana liczy 19 sań i 48 reniferów – po dwa na każde sanie i 10 rezerwowych. W razie potrzeby zajmą miejsce najbardziej zmęczonych zwierząt w zaprzęgu albo zastąpią te, które w nocy padną ofiarą wilków.

Termometr wskazuje minus 47 stopni. Co godzinę zatrzymujemy się na 10 minut, aby zapewnić odpoczynek zwierzętom, a sobie trochę ruchu, niezbędnego dla podtrzymania temperatury ciała.

Przemierzając rozległe tafle lodu na rzece, gramy koncert brzmiący jak stukot tysiąca sabotów lub wirtuozerski tip-tap wykonany w szaleńczym tempie przez Freda Astaire'a w gigantycznej balowej sali bez ścian. Tancerzami są ślizgające się renifery, które biegną na szeroko rozstawionych nogach, aby nie stracić równowagi. Czasem któryś upada. Jeśli nie uda mu się podnieść, to wlecze się dobrych kilkadziesiąt metrów po lodzie dopóty, dopóki przodownik nie zatrzyma konwoju.

Przygotowanie biwaku zajmuje ponad dwie godziny. Należy oczyścić teren ze śniegu, rozbić duży brezentowy namiot, zebrać całe naręczce wietek, modrzewiowych gałązek na warstwę izolacyjną podłogi. Na nie kładziemy karimaty ze skóry renifera i śpiwory. Każdy z nich jest dosto-

sowany do wymiarów jego właściciela. Nie może być za duży, aby zapewniał więcej ciepła. Ktoś już rozbija blok lodu wyciętego wcześniej w rzece, jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Małe kawałki są już w wiaderku i po rozpaleniu ognia szybko się rozpuszczają. Jeden z dwóch poganiaczy reniferów wiąże zwierzętom nogi. Dyżurny rozpala zaś „burżujkę”, blaszany piecyk z rurą wylotową na zewnątrz namiotu. Wreszcie w powietrzu unosi się ciepki zapach dymu i robi się cieplej. Ogień oznacza ochronę przed chłodem, gorącą strawę i zasłużony odpoczynek. Jest już północ, kiedy zaczynamy pić herbatę. Wkrótce namiot wypełnia apetyczny zapach. Mięso renifera ugotowane najprościej, jak się da – bez jarzyn, tylko ze szczyptą soli – syci wszystkich. To smaczny kąsek, bo zwierzęta żyją pod gołym niebem i jedzą aromatyczne zioła. Dyżurny proponuje jeszcze wypicie rosołu. Przyjemnie pachnie, ale zapach, niestety, to nie wszystko, bo pływają w nim kłaki z naszych futer, odpryski drewna i jeszcze inne zanieczyszczenia. Nieludzko zmęczeni całodniową jazdą marzymy tylko o jednym – położyć się jak najszybciej i zasnąć.

Jazda ekscytuje. Rozkoszuję się nieuchwytnym majestatem nieskalanej przyrody. Cały konwój spowity jest przez obłok oparów wytworzonych przez zziąbane zwierzęta. Także wokół naszych błyszczących od niedźwiedziego tłuszczu twarzy, którym się wysmarowaliśmy, by ochronić się przed trzaskającym mrozem, unosi się welon pary.

Srogi, niegościnnie klimat wystawia nas na surową próbę charakteru. Codziennie dają się we znaki dotkliwy chłód i zmęczenie, zmęczenie i okrutny mróz. Pył śnieżny kłuje w oczy i policzki. Skostniały, unieruchomiony niczym mumia na trzęsących się nierównościach terenu sankach czuję, jak intensywne zimno przenika do szpiku kości. Instynkt, prosty zwierzęcy instynkt, nakazuje zmobilizować całą uwagę, żeby uchronić się przed odmrożeniem. Staram się jak najczęściej poruszać palcami nóg i rąk oraz w miarę możliwości wykonywać wszelkie ruchy.

Podczas krótkiego odpoczynku Igor szepcze mi, że Roberto ma jakieś kłopoty ze zdrowiem. Nie zwróciłem uwagi, że kiedy na postojach truchtaliśmy, on pozostawał na saniach. Zaniepokojony podchodzi do niego i nie mam wątpliwo-

ści, że wpadł w stan hipotermii, nagłego ochłodzenia organizmu spowodowanego długotrwałym oddziaływaniem niskiej temperatury. Jest apatyczny i ospały, ma spowolnione ruchy. Wygląda, jakby miał zaburzenia świadomości, a nawet był pijany. Ma sine wargi, bladą skórę i co chwila wstrząsają nim gwałtowne dreszcze. Na moje pytania odpowiada trochę bez sensu, to przedostatnie stadium wychłodzenia, temperatura jego organizmu spadła prawdopodobnie już do 30 stopni.

Polecam rozbić obóz, a sam, wraz z Grazianim, zajmuję się poszkodowanym. Podajemy mu gorącą słodką herbatę z termosu, po czym układamy go na sankach z podkurczonymi nogami, co powinno zapobiec dalszemu spadkowi temperatury ciała. Wychłodzona ofiara musi unikać zbędnych ruchów, żeby nie dopuścić do dodatkowej utraty ciepła. Organizm człowieka w takim stanie pracuje na zwolnionych obrotach, spowalnia się przemiana materii, serce przepompowuje mniej krwi do serca, mózgu i płuc. Każdy ruch powoduje, że ciepła krew ze środka ciała jest kierowana ku wyziębionym kończynom, a jej miejsce zajmuje krew zimna, której organizm nie ma siły ogrzać, co może doprowadzić do ostatecznego zalamania się krwioobiegu. Zdezorientowany mamrocze pod nosem, że nic mu nie jest i żeby zostawić go w spokoju. Nie możemy dopuścić, aby zasnął, bo utrata przytomności grozi śmiercią.

HERBATA I OKLASKI

Po 30 dniach na horyzoncie pojawiają się światła zagubionej w arktycznej pustyni osady, docieramy do kresu podróży. Jest już noc, kiedy wjeżdżamy do Ojmiakonu. Za nami ponad 2 tys. km niełatwej drogi. Mamy powód do nieukrywanej dumy, bo przeszliśmy samych siebie, udowodniliśmy swoją wartość. Pierwszy napotkany przechodzień odprowadza nas do domu burmistrz Barbary Zabołodskiej, która przyjmuje nas nadobrodznie i częstuje gorącą herbatą. Prosi, abyśmy... powtórzyli wjazd nazajutrz rano, tak aby mogli nas powitać wszyscy mieszkańcy. Trochę mnie to śmieszy. Tyle dni trudu, a teraz taka powtórka przyjazdu dla zabawy. Miejscowi witają nas z proporczykami, dzieci trzymają transparenty wypisane cyrylicą, a dorośli opuścili miejsca pracy, aby nas oklaskiwali.